Nr. 10. We Lwowie dnia 11. marca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Z LITERATUR OBCYCH.



Hr. Lew Tołstoj:

»Chrześcijaństwo a patrjotyzm«.

Tajemnicza mgła mistycyzmu, gorycz człowieka, patrzącego na błędy swego narodu, wreszcie sekciarski niemal zapał, ale też sekciarska jednostronność i niesprawiedliwość w osądzaniu przeciwnego zdania, cechuje tę bądź co bądź niepospolitą broszurę filozofa-marzyciela. Powodem powstania książki, były umizgi kronsztadzkie, salwy armatnie, któremi w Tulonie witano flotę rosyjską, toasty, uściski i pocałunki, jakie zamieniali Rosjanie i Francuzi, dźwięk mięszanych ze sobą melodji »Boże caria chrani« i »Marsylianki«, dwóch hymnów, z których jeden, wedle słów Tołstoja, oddaje monarsze cześć niemal boską, a drugi wszystkich monarchów radby na szafot posłać. Wraz z całym światem patrzał i Tołstoj na te uroczystości, które w duszy jego wywołały »najpierw komiczne wrażenie, następnie zdziwienie, a nakoniec oburzenie«. W tem oburzeniu, jak Mojżesz, który powracając z góry Sinaj, ujrzał lud swój schylony przed złotym cielcem i strzaskał o ziem tablice z przykazaniami Pańskiemi, tak Tołstoj gromy potępienia ciska na patrjotyzm, który wywołuje takie objawy, jak przyjaźń francusko-rosyjska.

Przed oczy czytelnika wywleka autor tę przyjaźń, jak trupa, odbywa nad nim sekcję, rozbiera go na cząstki i sądzi wedle swych zasad, głoszących miłość wszystkich ludów i ludzi, wyrzeczenie się bogactw i uciech, czystość obyczajów i powszechne braterstwo. Sądzi umizgi dwóch różnych sobie narodów wedle owych zasad, w których prawdziwość tak święcie wierzy, iż nietylko słowem i drukiem innym je opowiada, ale wprowadził je w życie swoje, porzucając bogactwa i stosunki z możnymi, aby osiąść wśród chłopów i pracować z nimi, jak równy z równymi.

Z tego, że autor oparł się na jednym konkretnym fakcie, na stosunkach obecnych między Francją a Rosją, że uczynił sobie z niego punkt wyjścia, wynikły wszystkie zalety, lecz i wady jego rozprawy. Po pierwsze stąd pochodzi zapał, z jaką ją napisał, bo taka już natura ludzka, że prędzej ją rozpala opis żywcem pochwyconego zdarzenia, niż filozoficzne ogólniki. Dalej idzie wślad jawność logicznych dowodzeń, bo autor może je poprzeć wskazaniem rzeczy, na które wszyscy patrzą i je znają. Cierpi jednak na tem siła ostatecznego wniosku, bo z jednego faktu pewnej reguły wyprowadzić nigdy niepodobna.

Przytoczywszy opis uroczystości tulońskich wedle źródeł, których o tendencyjne karykaturowanie posądzić niepodobna, bo wedle *Sielskiego Wiestnika*, czasopisma przez rząd rosyjski dla ludu wydawanego, Tołstoj musiał się zapewne w duchu zapytać, jak je osądzić ze stanowiska uczuciowego, następnie rozumowego, nakoniec ze względu na cel, co dla jego zasad jest rzeczą najważniejszą. Co do uczucia, to autor stanowczo osądza je jako udane, lub w najlepszym razie sztucznie wywołane. Skąd bowiem — powiada — taka nagła miłość między dwoma narodami, których ze sobą nic zgoła nie łączy, skąd zapał w warstwach niższych i niemających w stosunkach międzynarodowych głosu decydującego? Owoż stąd — wyjaśnia — że to wszystko sztucznie zwykłą suggestją wywołane przez warstwy wyższe, przez tych, którzy mają w tem swój osobisty interes, którzy z tego wszystkiego zyski ciągną. Z tego więc powodu rozumowo wziąwszy, przyjaźń francuzko-rosyjska przedsta-

wia mu się jako obłęd masowy, jako psychopatyczna epidemja. Tołstoj twierdzenia tego nie bierze w przenośni, ale całkiem na serjo i dosłownie, a nawet przytacza opis odkrytej w gubernji kijowskiej przez prof. Sikorskiego »psychopatycznej epidemji Malewahistów«, która polegała na tem, że gromada chłopów, uwierzywszy, że koniec świata już niedaleko, sprzedawała swe mienie, a kupowała rzeczy zbytkowne, przysmaki, przyczem dotknięci epidemją tą okazywali nadmierną czułość, wybuchającą bez powodu, gadatliwość, ruchliwość i skłonność do teatralnego pozowania, a w tem wszystkiem rej wodziły kobiety. Zupełnie jak w przyjęciu rosyjskich marynarzy w Tulonie — powiada Tołstoj.

Dla autora, jak zresztą dla wszystkich widzów scen owych, nie jest wcale tajnem, jakim był cel ich. Mówiono tam wiele o miłości, o braterstwie, ale w sercu kryło się uczucie wręcz przeciwne: nienawiść, chęć uzyskania wojennej przewagi Francji nad Niemcami. Wprawdzie wszyscy mowcy bankietowi zaznaczali swe pokojowe usposobienie, »ale — powiada Tołstoj — chytrość wszystkich warjatów jest znaną i właśnie to ustawiczne powtarzanie, że się nie chce wojny, tylko pokoju, a przemilczenie tego, co wszyscy myślą — to właśnie jest groźnym objawem«,

A więc wojna, owoc zdziczenia, chciwości, nienawiści, samych przeciwieństw haseł, jakie sobie Tołstoj wytknął, jest celem przyjaźni rosyjsko-francuskiej. Ta przyjaźń powstała pod hasłem patrjotyzmu — zatem... i tu już znajduje się Tołstoj w samym środku swych ogólnych, filozoficznych rozumowań.

W umyśle jego odbył się mniej więcej taki proces: przyjaźń francusko rosyjska, wiodąc ku wojnie i zdziczeniu, jest rzeczą niechrześcijańską i złą, przyjaźń tę zawiązano ze stron obu w imię patrjotyzmu, a więc patrjotyzm jest rzeczą niechrześcijańską i złą. O ile ten ostatni sąd odnosi się do stosunków francusko-rosyjskich i podobnych im objawów, nikt mu nie odmówi słuszności, zmienia się jednak rzecz, skoro temu nadamy ogólne, decydujące znaczenie.

Że do owej konkluzji doszedł Tołstoj w sposób powyżej przytoczony, na to mamy dowód w jego definicji patrjotyzmu. »Uczucie to — pisze on — w swojej istocie nie jest niczem innem, jak uwielbieniem własnego państwa lub narodu ponad wszelkie inne państwa i narody, uczuciem, które doskonały wyraz znalazło w niemieckiej piosnce patrjotycznej: *Deutschland, Deutschland über alles.* Potrzeba tylko na miejsce Niemiec podstawić inny kraj: Rosję, Francję, Włochy, albo N. N. a jest już gotowa formuła dla wzniosłego uczucia patrjotycznego«. Z takiej definicji wychodząc, musiał autor, konsekwentnie postępując, powiedzieć, że »patrjotyzm był koniecznym do utworzenia silnych państw z rozmaitych narodów, co dawało bezpieczeństwo przed nawałą barbarzyńską, ale skoro światło chrystjanizmu przekształciło wszystkie te państwa, patrjotyzm stał się zbytecznym«, a nawet szkodliwym dla chrześcijańskiej jedności narodów. Patrjotyzm więc, zdaniem Tołstoja, to w naszych czasach uczucie sztuczne, narzucone przez warstwy wyższe, a zwłaszcza przez rządy.

Owoż tu trudno się powstrzymać od uwagi, że Tołstoj pojmuje patrjotyzm jako uczucie państwowe, uczucie oddania się zupełnego rządowi, a nie narodowi. Przynajmniej u nas Polaków nie znalazłby nikt prawdziwego patrjoty, któryby w myśl patrjotycznej piosnki niemieckiej, zasadzał miłość Ojczyzny na bezwzględnem uwielbieniu swego kraju ze wszystkiemi jego wadami. To jest złem stanowczo i również stanowczo niepatrjotycznem! Uważać swój naród bez powodu za najdoskonalszy, to szkodliwe zaślepienie, ale zupełnie co innego c h c i e ć a b y m ó j n a r ó d b y ł n a j d o s k o n a l s z y m i to dopiero jest prawdziwy patrjotyzm, to jest uczucie naturalne i potrzebne, bo stwarza wśród ludzkości ciągły postęp ku dobremu. Z owem poczuciem ma się rzecz wśród narodów zupełnie tak, jak wśród poszczególnych ludzi. Tego, co powiada o sobie: »Jestem najdoskonalszym z ludzi«, nazwiemy zarozumiałym głupcem, który do niczego nie doprowadzi, ale takiego, co mówi sobie: »Chcę być najdoskonalszym z ludzi«, nazwiemy człowiekiem mądrym, człowiekiem zasad, człowiekiem, przed którym droga postępu jest szeroko otwarta. Taka więc w istocie jest definicja patrjotyzmu, a jeżeli się na nią zgodzimy, wtedy możemy powiedzieć, że większość ludzi mylnie pojmuje patrjotyzm, że takie jego objawy jak serdeczności francusko-rosyjskie są stanowczo zgubne, ale nigdy w świecie powiedzieć nie można, że patrjotyzm jest rzeczą złą. Zresztą narodów nie stworzyli ludzie ale konsekwencja faktów, niezachwiane prawo postępu. Tak jak ludzie w obrębie jakimkolwiek dzielą między siebie pracę i jeden jest rolnikiem, drugi szewcem, trzeci stolarzem, czwarty uczonym lub artystą, tak samo ludzkość cała bezwiednie podzieliła pracę między grupy, które z powodu klimatu, położenia geograficznego, warunków miejscowych, urodzajności ziemi, wreszcie z powodu wiekami wyrobionego charakteru nadają się do wykonywania tej a nie innej czynności, do odegrania tej a nie innej roli w ogólnym rozwoju, a które to grupy przywykliśmy nazywać narodami. Kto więc jest patrjotą, jest człowiekiem, który uczucie swe skierował po drodze, wskazanej przez prawa natury. Prawdziwy patrjotyzm nie jest też przeszkodą w braterstwie ludów, upragnionem przez Tołstoja, ale owszem jest jego warunkiem. Bo dopóty nie będzie owego braterstwa, dopóki każdy z narodów nie będzie wolny od obcego ucisku, dopóki zgodnie ze swemi patrjotycznemi uczuciami nie otrzyma zupełnej swobody rozwoju.

Tołstoj więc chorobę patrjotyzmu, wziął za sam patrjotyzm, a pamiętając o tem, innem okiem patrzeć będziemy na gromy, ciskane przezeń na obecne stosunki. Sympatja czytelnika towarzyszyć mu też będzie, kiedy on z oburzeniem woła: »W imię patrjotyzmu Rosjanie uciskają Polaków, jak Niemcy Słowian, a w r. 1871 komunardzi zabijali Versalczyków, a ci komunardów«.

Zresztą prócz trafnych a niezwykle śmiałych rzutów krytycznych, zwłaszcza co do stosunków rosyjskich, ta książka Tołstoja, która jak inne jego dzieła, wyszła naturalnie za granicą Rosji, przełożona z rękopisu na obce języki, zawiera pełno charakterystycznych obrazków, nakreślonych z werwą powieściopisarza, a bystrością obserwatora społecznego, jak np. wizyta Derouleda i pełen sarkastycznego zacięcia, opis rozmowy jego z chłopem rosyjskim, albo anegdota z czasów, kiedy Aleksander II. był następcą tronu, dającą próbkę, jak to się w Rosji robi entuzjazm dla cara i jego rodziny. Skorzystać z tej książki można wiele, ale trzeba ją czytać przez szkła, żadnem uprzedzeniem nie zabarwione.



Z tułaczej jazdy.

I.

Granica.



Od Częstochowy już obecność »objeżdżczyków«, którzy obok żandarmów zaczynają odegrywać rolę pierwszorzędną na peronach, zapowiada, że pociąg przerzyna tak zwany pas graniczny. Zakrzewski, zasunięty w swym kącie między futrowaniem drzwi wagonowych a piecykiem, zaczyna doznawać jakby lekkich dreszczyków naskórnych, jakby łechtania gdzieś w przełyku, które sprawia, że chwilami robi mu się sucho w gardle. Gdzieś pierzchnął niespodzianie spokój i z lekka ironiczny nastrój, w który go wprawił szczęśliwy przebieg ucieczki w Warszawie.

— Cóż u licha! — myśli Zakrzewski — boję się, czy co?... Pięknie będę wyglądał na granicy!...

I przypomina mu się rada zacnego chłopa, Olka, który, narażając się sam na »nieprzyjemność«, odprowadził go na kolej i usadowił w tej otó szufladce:

— Tylko, uważasz, nic się nie bój... Bo, ostatecznie, gdyby cię naprzykład wzięli, tobyś raptem po 24 godzinach najwyżej znalazł się w ciupie. Nicby ci się gorszego nie stało.

— Tcc— rozumie się! — odpowiadał Zakrzewski. Olek miał tęgą minę! Ale teraz sam jest po tylu godzinach nieciekawych myśli i czuje, że mu trochę nieswojsko...

Pociąg pędzi z hałasem wśród ginących już blasków dnia, kurzą się zapylone wagony; piaszczysty tor pomyka w tył, śmigając pod okiem długiemi, długiemi pasmami; miarowo zniża się i podnosi drut telegraficzny i uciekają jeden za drugim w równomiernych odstępach słupy. Zakrzewski probuje rozerwać się trochę widokiem z okna. Chłodny, wieczorny wiatr, uderzający pełną falą w twarz, uśmierza po chwili jej gorączkę i ściera wypieki — wieczór zapada coraz szybciej.

— Już nie widać dobrze rysów twarzy, patrzących z sąsiednich okien — robi w duchu uwagę Zakrzewski.

Krajobraz zasnuwa ni to dym, ni to mgła nadwieczorna. Z trudnością można rozróżnić ścierniska, na których pusto już, od łąk, na których więdnieją resztki jesiennej zieloności. Od czasu do czasu pociąg przelatuje nad małą, bezimienną rzeczułką, wówczas zmienia się suchy łoskot wagonów, staje się hałaśliwym. Ale mimo to męczący, monotonny takt tych żelaznych zgrzytów ciągle mimowoli przykuwa uwagę do siebie, dokuczliwie wtórując myślom. Teraz oto Zakrzewski wyraźnie słyszy, że takt układa się w dwuzgłoskowy wyraz:

— Do-kąd?... do-kąd?... do-kąd?... — Wyraz ten natrętnie powraca z klekotem kół i zgrzytem łańcuchów. Po chwili ucho już samo szuka tego wyrazu w zmienionem tempie łoskotu i mimowoli za nim pociąga myśl.

— Ciekawa rzecz, ciekawa rzecz! — powtarza w duchu Zakrzewski — ostatecznie musi być taki tłok na tej granicy, że oni nie wiele mają czasu na zbyt szczegółową indagację.

W tem miejscu nasuwa mu się filozoficzna refleksja, że jak to marnie, że się tak mało bywa w Galicji; wprost nikogo prawie z młodzieży nie znał, ktoby mógł mu praktycznie opowiedzieć o przejeździe przez granicę. Ale filozofja pierzcha i w umyśle znowu zjawiają się o n i.

— Cieka-wa rzecz, cieka-wa rzecz! — powtarza teraz miarowy łoskot wagonów, zwalniających biegu przed stacją. Zakrzewski znowu zasuwa się w głąb swego siedzenia. Przez okno z ukosa widzi twarz telegrafisty w czapce, bladą, niewyspaną twarz, pochyloną nad białą wstęgą, wywijającą się z aparatu. Przed oknem telegrafisty przechadza się strażnik, później staje przy latarni i poziewa. Zakrzewskiemu to robi pewną przyjemność: to dobrze, że on tak sobie poziewa. Żandarm również jest całkiem spokojny i w chwili, kiedy pociąg rusza, obojętnie zawraca się na pięcie i odchodzi w głąb budynku kolejowego.

W wagonie zapalono światła. Szczęśliwym trafem od kilku już stacji nie przybył nikt nowy.

Ten sam żyd odbywa wędrówkę po wagonie, wtrącając się do rozmowy współwierców. Ta sama panienka w tej samej niemal pozie siedzi na ławce sąsiedniej, skrzyżowawszy ręce pod pelerynką. Przed nią chłop spożywa kolację, krając kozikiem geometrycznie równe krajanki chleba i sera. Te szczegóły również uspokajająco działają na Zakrzewskiego, więc znowu zajmuje swe miejsce przy oknie, czując dobroczynny chłód wiatru na rozpalonych skroniach i odpędzając natrętny takt łoskotu.

Teraz z przeciwległej strony pociągu wypłynął księżyc — na piasczystym torze zarysowuje się drgający szereg sylwetek wagonów. Dalej, siwe jakieś czy szarawe, majaczeją niewyraźne kontury krajobrazu. Wieczór przyniósł z pól resztkę jakichś znajomych zapachów. Zakrzewski wypija je naraz z dziwnie ciężkiem westchnieniem i zatrzymuje w piersi oddech. Coś, jakby poczucie blizkiej straty, ściska mu serce silniej, niż strach. Oczy wytężają się tam, w kierunku tych mglistych konturów, zaczepiając z niezwykłą uwagą o każdy szczegół. Teraz pociąg wpada w rzadki las sosnowy. Przednie szeregi drzew stoją w świetle księżyca: widać na nich każde obdarcie kory, każdą gałęź suchą, sterczącą w srebrnem powietrzu.

Za niemi las ciemnieje i zwarta, czerniejąca przestrzałami, ściana drzew nie puszcza wzroku, któryby biegł, aż w głąb, jak najdalej. Chwilami zdaje się Zakrzewskiemu, że w świeżej fali powietrza rozróżnia ostrą woń grzybów i leśnej wilgoci. Po chwili pociąg wypada na łąkę, znowu kępa drzew i jakby wylot alei. Nieopodal zarysowuje się smukły gotycki rząd topoli, za nim coś jakby białość muru, później wyraźnie widać groblę, staw — i pociąg przelatuje znowu po nad małą rzeczułką bez nazwiska.

I nagle znika wszystko z przed oczu Zakrzewskiego: wagon, i krajobraz, i nawet o n i... Coś nieskończenie rodzinnego, znanego zstępuje mu pod powiekę i jaśnieje w łzie, zawisłej na rzęsach.

Ciche, miękkie, wiejskie drogi leżą senne... Ani wóz nigdzie nie zakołacze, ani się kurz nie zakłębi w świetle księżyca. Tylko ich głosy — jego i Wacka — dźwięczą wyraźnie, ścieląc się po rosie.

— O czem gadają? — gadają, jak zwykle, o jednym temacie, mimowoli przyciszając rozmowę, choć tu na wsi przecież nikt ich nie podsłucha. Idą miedzą dla skrócenia drogi. Dziad, stary polityk czeka z niecierpliwością na gazety, które spacerem zabrali na stacji.

Dok. n. *Jerzy Grot.*



O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe.

—w—

(Dokończenie).

Widzimy tedy, że pomiędzy czynnikami chorobotwórczemi, warunki psychiczne odgrywają olbrzymią, zaiste, rolę, tak, że z zupełną słusznością można je postawić w jednym rzędzie z bakterjami. Ogół lekarzy zwraca przeważnie uwagę na choroby zapalne i zakaźne, gdyż tutaj początek, przebieg i zakończenie bardziej są uwydatnione i alarmują publiczność, a więc i lekarzy; oprócz tego choroby owe dają łatwiejszy materjał do ścisłych poszukiwań. W dzisiejszym zaś stanie metod naukowych, newrozy i psychozy stanowią trudniejszy i nie tak wdzięczny materjał. Zwykle rodzina chorego mniej bywa zaniepokojoną jego hypochondrją lub neurastenją, niż tyfusem albo zapaleniem stawu. A jednak, biorąc pod uwagę sumę ludzkich cierpień i niedołęztwa społecznego, kto wie, czy neurastenje, histerje, psychozy nie stanowią niebezpieczniejszych naszych wrogów, niż choroby zakaźne i zapalne!

Pamiętajmy tedy, że zdrowe, normalne i dodatnie stany duchowe stanowią o zdrowym, prawidłowym i pomyślnym rozwoju ciała osobnika. Fakt ten niewątpliwy w związku z prawami dziedziczności objaśnia inny, nadzwyczaj ważny fakt, a mianowicie p o w s t a w a n i e c e c h, c h a r a k t e r y z u j ą c y c h r ó ż n e w a r s t w y s p o ł e c z n e, l u b c a ł e l u d y. Warunki ich życia psychicznego przyczyniają się do wytworzenia anatomicznego charakteru rasy. Obok innych czynników, przywileje stanowe, wolność, szczęśliwsze życie szeregów pokoleń wytworzyły prawdopodobnie to dostojeństwo wyrazu twarzy, postawy, plastyki cielesnej, charakteryzujące przeważnie rodową szlachtę. Z drugiej strony prześladowania, obawy, upokorzenia w ciągu szeregów pokoleń, spowodowały te cechy cielesne, które tak wybitnie charakteryzują t. zw. »klasy niższe« w każdym prawie narodzie.

Pomijając stosunek chorobotwórczego wpływu czynności duchowych do sztuki leczenia, autor porusza go jeszcze ze stanowiska hygjeny. Najpierwszą tedy potrzebą hygieniczną jest możliwie szerokie rozpowszechnienie i wpojenie w ogół tej prawdy, że czynności psychiczne wpływają na zdrowie ustroju. Codziennie spotykamy osoby, które za nic w świecie nie zgodziłyby się uderzyć lub skaleczyć bliźniego, zaszczepić mu do krwi jaki zarazek chorobowy, podać umyślnie jaki pokarm niewłaściwy, lub domieszać doń, broń Boże, jakiej trucizny, chociażby niezabójczej. Te same jednak osoby z najlżejszem sumieniem obrażą bliźniego, zawstydzą, upokorzą, zaszczepią mu najbardziej zabójczą truciznę moralną, znęcać się będą nad jego słabostkami, nie uszanują najświętszych jego uczuć. Osoby te nie wiedzą, że w ten sposób, w dosłownem znacze-

niu wyrazu, skracają życie bliźniemu, kaleczą jego zdrowie, odejmują mu barwnika krwi, psują trawienie, uszkodzają układ nerwowy, osłabiają serce i czynią mniej odpornym na wszelkie, nawet zabójcze ostre zakażenia! Oto, jakie fakty należy podać do najszerszej wiadomości ogółu i wszczepiać mu głęboko w umysł i serce; o nich powinien bezwarunkowo wiedzieć każdy człowiek, o nich powinien on ciągle i ustawicznie słyszeć w domu, w szkole, w społeczeństwie. Baczność tedy, rodzice, opiekunowie, nauczyciele, kierownicy opinji publicznej, prasy!

Do szkodliwych czynników psychicznych, działających nagminnie na zdrowie społeczne, zawsze należały i należeć będą wielkie prześladowania polityczne i religijne, począwszy od prześladowań żydów w Egipcie, chrześcijan w Rzymie, wstrząśnień w czasie reformacji i t. d., aż do okrutnych uciemiężeń, jakich obecnie, niestety, świadkami jesteśmy. W tym samym rzędzie wrogów zdrowia społecznego należy także postawić współczesne szkolnictwo w Europie. Bezcelowa i karygodna surowość, przeładowanie młodych umysłów nadmierną pracą, błędna organizacja egzaminów, to są żywe i obfite źródła trucizny, które upośledzają społeczeństwa moralnie i fizycznie. Egzaminy z wielu przedmiotów w ciągu dnia jednego lub kilku dni kolejnych zasługują na najżywsze potępienie. Hygjena potępia nawet egzaminy z kilku przedmiotów w okresie paru tygodni, a jednak wydziały lekarskie, ci niby mistrze hygjeny, popełniają wielką zbrodnię, przeładowywując umysł młodzieży pracą egzaminową. U najuczeńszych ludzi wiedza raz nabyta spoczywa głęboko pod poziomem świadomości i nie odnawia się drogą zwykłego przypominania. Autor znał genjalnego chemika, który przy rozwiązywaniu najzawilszych zagadnień chemji zaglądać musiał często do elementarnych podręczników, dla przypomnienia sobie najprostszych własności ciał i reakcji. I my mieliśmy nieraz sposobność widzieć znakomitego matematyka, który, będąc proszony o rozwiązanie jakiegoś uczniowskiego zadania z arytmetyki, trudził się nad niem dość długo. Żądać od studenta, ażeby ogrom treści jednego przedmiotu był tak żywo świadomy w jego umyśle, ażeby na dane pytanie występował w każdej swej cząstce jako świadoma wiedza, jest to wymagać nadmiernej pracy umysłowej; gdy zaś to odnosi się do wielu przedmiotów w krótkim okresie czasu, stanowi istotny gwałt, dokonany na organie władz duchowych, a jak z powyższego wynika i na całym ustroju człowieka. Nie dziw tedy, że egzaminy corocznie dostarczają lekarzom pokaźną liczbę młodych ludzi anemicznych, przygnębionych, w najwyższym stopniu rozdrażnionych. Znęcanie się obecnego szkolnictwa nad zdrowiem młodzieży należy do najbardziej palących i wymaga gorliwego zajęcia się nią towarzystw i zjazdów lekarskich.

Do dalszych wreszcie przyczyn moralnych cierpień i idących za nimi dolegliwości fizycznych należy brak troski o rozwój charakteru obywateli. Charakter jednostki jest jednym z najpotężniejszych czynników jej szczęścia i rozwoju na pożytek własny i ogółu. Dwa zasadnicze bieguny charakteru, egoizm i altruizm, stanowią o harmonijnem unormowaniu takiego stanu duchowego, przy którym dośrodkowe i odśrodkowe napięcie inerwacji daje największą rękojmię moralnego i fizycznego zdrowia. Zarówno wygórowany egoizm, jak przesadny altruizm są źródłem ujemnych wzruszeń, bezporównania jednak częściej spotykamy pierwszy, o wiele, wiele rzadziej drugi. Wygórowany egoizm jest też jedną z największych klęsk zarówno dla jednostki, jak dla społeczeństwa; hypochondrja, histerja, neurastenja, pomięszanie zmysłów, oto częste jego skutki. Ciasny i niski egoizm jest najżyźniejszem polem, na którem wyrastają zabójcze wzruszenia, jak: bojaźń, przestrach, rozczarowanie, nieutulona rozpacz i t. d. Zbyt daleko posunięta miłość własnego życia i zdrowia zamienia istnienie w szereg niepokojów, obaw i różnych ograniczeń życiowych, które właśnie podkopują i skracają to cenione tyle życie. Silna żądza realnego użycia szczęścia i rozkoszy również napawa nas obawą, niepokojem, cierpieniem oczekiwania, strachem rozczarowań, wywołuje więc szereg wzruszeń ujemnych, chorobotwórczych, których często nie wynagradza nawet osiągnięcie upragnionego celu. Zbyt wielka ambicja, pożądająca majątku, stanowiska, sławy, to także rezultat wybujałego egoizmu, stanowiący niewyczerpane źródło szkodliwych dla ustroju wzruszeń ujemnych.

Te groźne wybujałości egoizmu znikają pod wpływem szczerego umiłowania szerszych ideałów ludzkości, ojczyzny, prawdy. Jeżeli w uczuciach społecznych i ogólno-ludzkich znajdujemy obecnie aż nadto powodów do smutku, bólu i rozpaczy, to ujemność tych wzruszeń mieści w sobie zobojętniająca ją dodatniość przeświadczenia, że żal nasz jest podniosły, a współczucie obowiązkowem. Zmniejsza ich ujemność także nadzieja lepszej przyszłości i wiara, że społeczeństwa dziś ubogie, słabe, błądzące mogą kiedyś stać się zasobnemi, potężnemi i rozumniejszemi. Życie narodów, to nie marna chwila życia osobnikowego, które, raz nieudane, drugi raz powtórzone być nie może. W imię własnego zbawienia społeczeństwa powinne więcej, niż dotychczas dbać o udoskonalenie duchowe, albowiem zdrowie ducha podnosi zdrowie ciała. Autor kończy śmiałą uwagą, że cechą końca naszego stulecia jest pewna przesada w rozwijaniu mięśni i że wolałby pewnie ich zaniedbanie na korzyść hodowli charakterów. Niechaj będzie zasługą medycyny przed społeczeństwem, że ona zwraca jego uwagę na olbrzymie znaczenie hygjeny ducha.

Drzewiecka.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Ciąg dalszy.)



Vendulka zdołała nakoniec zapanować nad wzruszeniem serdecznem i odsunęła się od uśpionego dziecka, a w tejże chwili i Łukasz odwrócił się od okna. Teraz dopiero zauważył, że izba była porządnie sprzątnięta, stół wyszorowany, a czeladź nakarmiona przed jego przyjściem. Pierwszą myślą młodej gosposi, skoro tylko przestąpiła próg jego domu, była troska o domowników. Łukasz ucieszył się znowu: więc i w tem się ze sobą zgadzali! I on bowiem dbał przedewszystkiem, aby czeladka miała w porę i jak należy podane, troszcząc się bardziej o nich, niż o siebie. Nieraz go też gniewała opieszałość nieboszczki w tym kierunku. Ale teraz mógł być pewny, że wszystko będzie inaczej i nowe pod każdym względem rozpocznie się życie. I jakim sposobem kum Frasobnicki mógł widzieć w podobieństwie ich charakterów źródło domowych niesnasek! Właśnie dla tego tak dobrze im ze sobą, że jednakowe mają we wszystkiem upodobania i poglądy.

Łukasz miał nadzieję, że Vendulka pierwsza zbliży się do niego, zgadując iż on tego uczynić nie śmie, aby nie być natrętnym tej, którą widział przed chwilą we łzach; ale ona zwróciła się do pieca i zaczęła pilnie przeglądać kołowrotki i kądziele, aby się przekonać, w jakim porządku utrzymują je prządki. Skierował się więc i Łukasz w tamtą stronę, a umieściwszy się na przypiecku, zapatrzył w jej twarz z całą miłością, jaka mu w sercu dla niej płonęła.

I znowu — jak o kilka godzin wcześniej, na zmowinach — wzruszenie odebrało mu głos, ona milczała również, zaprzątnięta kądzielami; kto wie, co w nich znalazła tak osobliwego, że na wszystko inne zabrakło jej naraz oczu.

— Bardzo to pięknie z twojej strony, że tak mnie miłujesz — przemówił nakoniec Łukasz stłumionym głosem.

Spojrzała na niego zdziwiona i byłaby zapewne parsknęła śmiechem, gdyby nie bolało ją wciąż jeszcze serce nad nieboszczką i tym niewinnym jej robaczkiem.

— Alboż to co nowego, że przyszło ci naraz do głowy chwalić mię za to?

— Zapewne, wiem o tem oddawna, ale czyż mogę zapomnieć, że gdyby nie twoja dla mnie wierność, tobyśmy i teraz byli dla siebie obcymi?

— Tak — rzekła w zamyśleniu — dla nas dwojga wszystko się pomyślnie skończyło, ale nieboszczka dość przecierpiała. I dla czego szczęście jednych okupuje się najczęściej łzami innych ludzi? Co do mnie, postaram się przynajmniej wynagrodzić jej dziecku dobro, jakie mi zrobiła, ustępując miejsce swoje obok ciebie. Gdyś wszedł, przysięgałam jej właśnie, że prędzejbym dała sobie rękę uciąć, niż pozwoliła, aby jej maleństwu stała się najdrobniejsza choćby krzywda przezemnie lub przez kogo innego. Przekona się, jako umiem przysięgi dotrzymać, skoro przyjdzie je odwiedzić: nie będzie potrzebowała ani przewijać niebożątka, ani słać mu łóżeczka. Jestem pewna, że przychodzić tu będzie noc w noc; posypię umyślnie popiołu koło kolebki, abym mogła rozpoznać jej ślady. Pozostawiają podobno umarli po sobie ślady, jakby od kaczych łapek, słyszałeś zapewne i ty o tem, nieprawdaż?

Łukasz skinął głową potakująco, ale czego Vendulka dowodziła i w czem on jej przytwierdzał, o tem nie miał ani pojęcia, chociaż przez cały czas nie spuszczał oczu z jej ust. Nie dla tego wszakże wpatrywał się w nie tak uporczywie, aby lepiej zrozumieć co mówiła, lecz dla tego, że były czerwone, pełne, wabiące, niby dojrzała czereśnia. Piękniejszą, dziesięć razy piękniejszą była teraz Vendulka, jak przed jego ślubem. Nie, nie mógł poprzestać na samem tylko przypatrywaniu się jej ustom, musiał skosztować ich miodu i płomienia — i nim Vendulka zrozumiała o co chodzi, wycisnął na nich taki pocałunek, aż dziwno że krwią nie trysnęły.

Z gniewnem zdumieniem wyśliznęła się z jego objęć Vendulka i odtrąciła go od siebie całą siłą ramienia, a wiadomo, jak mocne bywają nasze góralki.

— Jak się nie wstydzisz! — zawołała z twarzą płonącą, jak ta zorza zachodnia na niebie, ale nie zakłopotanie dziewicze tylko dumne oburzenie zarumieniło ją tak ogniście.

— Eh, tyle hałasu o jeden marny pocałunek! I jak gdybym to dziś poraz pierwszy domagał się go od ciebie — uspokajał ją Łukasz, okazując jawną chęć powtórzenia zbrodniczej czynności.

— Nie powiadam, aby to było dziś po raz pierwszy, ale wówczas byłeś wolny: któżby więc ośmielił się wtrącać do spraw naszych, jeżeli się nam tak podobało? Dziś co innego, dziś należysz jeszcze do nieboszczki.

Ale Łukasz nie chciał o tem ani słyszeć.

— Cóż znowu! — zaprzeczał gniewnie — obchodziłem uczciwie żałobę po nieboszczce przez niedziel sześć, od jej pogrzebu aż po dziś dzień, przez cały ten czas anim się zapytał o ciebie, anim się za tobą obejrzał, onegdaj dałem ci dopiero znać w paru słowach przez starą Martę o moich zamysłach; ale dziś w południe zapiłem publicznie z przyjaciółmi wszelkie smutki i skończyłem z nimi na zawsze. Zapytaj kogo chcesz, a każdy ci powie, że jestem teraz wolny, jak gdybym nigdy żadnych nie zawierał ślubów.

— Nie mam zwyczaju zapytywać kogokolwiek, co mam robić, a czego nie robić, sama

bowiem wiem o tem najlepiej. I dla tego z góry ci zapowiadam, że gruchać z tobą nie myślę w tym domu, gdzie nie wystygło jeszcze miejsce po pierwszej twej żonie, gdyby nawet cały świat mię przekonywał, że to rzecz dozwolona. Dość na to czasu po ślubie, gdy ona nie będzie już miała prawa uważać tego za krzywdę dla siebie.

— Jeżeli prawdą jest, żeś teraz dziesięć razy ładniejsza, niż dawniej, to niemniej prawda i to, że dawniej byłaś dziesięć razy grzeczniejsza. Przypomnij sobie tylko, jaki okrzyk wyrywał się z twej piersi za każdym razem, gdyś mię zoczyła zdaleka skradającego się pod wierzbami, brzegiem potoku, do waszego ogrodu, gdzieś na mnie oczekiwała pod osiką. Przypomnij, z jaką radością sama rzucałaś mi się w objęcia, a teraz zaczynasz ni stąd ni zowąd grymasić.

Niewypowiedzianie figlarny uśmiech przemknął po twarzy Vendulki na wspomnienie wieczorów pod osiką, z wyrzutów wszelako, jakie mu towarzyszyły; nic a nic sobie nie robiąc, ani słyszeć chciała o drugim pocałunku. Rozsrożyła się owszem na Łukasza silniej jeszcze, gdy otoczył niespodzianie kibić jej ramieniem. Niktby nie był nawet przypuszczał, że potrafi tak zapalczywie na niego się gniewać, tak ostro mu grozić w razie, gdyby nie chciał zostawić jej w spokoju. Widząc atoli, że nie daje za wygranę, że ani dobrem ani złem przekonać go nie można, poskoczyła ku niemu żwawo i wpierw nim zrozumiał o co chodzi i pomyślał o stawieniu oporu, znalazł się, jak niepyszny, za progiem, w sieniach, gdzie słyszał, jak Vendulka drzwi stołem zasuwa, aby już nie mógł wrócić do izby.

Przez długą chwilę stał Łukasz w sieni, wieczornym zapełnionej mrokiem, doświadczając takiego wrażenia, jak gdyby ktoś oblał go nagle zimną wodą. Inaczej, zgoła inaczej wyobrażał sobie wieczór dzisiejszy, gdy w ślad za Vendulką gnał z pośpiechem do domu. Stłumił atoli szybko to, co wrzeć i burzyć się w nim zaczynało jako niewłaściwą czułostkowość i silił się całe zajście w żart obrócić. I kiedyż, jeżeli nie przed ślubem, był czas na takie żarty? Wielkim musiałby być, zaiste, ciemięgą, gdyby się chciał na nią gniewać: wszak niezaprzeczone miała prawo przyszłego męża trochę podrażnić i z nim się odrobinę przekomarzyć.

Pozostawiając przeto drzwi do izby w spokoju, to jest nie probując zdobyć ich szturmem, wyszedł na podwórze między czeladkę z twarzą tak pogodną, jak gdyby opuścił był izbę z własnej woli, nie chcąc tam dłużej Vendulce przeszkadzać. Z uśmiechem słuchał, jak czeladź już teraz ją wychwala, winszując sobie i jemu, że tak zawołana dostała się im gospodyni, a gdy wybiła zwykła godzina, poszedł z parobkiem na siano do stodoły, gdzie sypiał od śmierci żony.

IV.

Zacny Łukasz nie był tej nocy zbyt miłym dla swego towarzysza sąsiadem: natrętne myśli nie dawały mu ani usnąć, ani nawet spokojnie uleżeć. Zastanawiał się wciąż nad tem, dla czego Vendulka bez żadnej widocznej przyczyny tak ostro z nim postępowała i mając w oczach wyraz miłości najtkliwszej, w słowach i całem zachowaniu się była tak lodowato powściągliwą? Co przyszło jej nagle do głowy? Czy chciała ukryć, że tak zawsze dbała o niego? A może obawiała się, aby nie lekceważył wielkiego jej przywiązania teraz, gdy już ją ma, jak to bywa niekiedy u mężczyzn i dla tego chciała się trochę podrożyć pod pierwszym lepszym pozorem? Jak mogła tak mylnie o nim sądzić? Wszak szczerość charakteru cenił w niej najbardziej i było mu zawsze niewypowiedzianie słodko pomyśleć, że każde jej spojrzenie, każde słowo tchęło prawdą, że nie było w nich nigdy ani cienia pochlebstwa lub udawania? Najlepiej wszelako zrobi, nie łamiąc sobie nad tem głowy, bo i ona sama nie wie zapewne, co się jej nagle stało. Zdarza się nieraz kobietom, że ni stąd ni z owąd coś sobie wymyślą i koniecznie na swojem chcą postawić, a jeżeli się ich zapyta: dla czego? nie są w stanie dać rozsądnej odpowiedzi. Wszak nic zresztą nie zaszło między nimi nadzwyczajnego, bo cóż tam znaczy jeden pocałunek? Nie chciała go pocałować dziś, będzie chciała kiedyindziej. Powinno mu wystarczyć na razie, że miał ją na swojem gospodarstwie, u domowego ogniska, u kolebki dziecka i że nikt już nie mógł między nimi stanąć, nikt nie mógł mu jej wydrzeć.

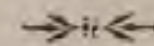
Tłumacz. z czeskiego

C. d. n. *M. W.*



ANTONI RUBINSTEIN.

»OCEAN« SYMFONJA ORKIESTROWA.
»MOJŻESZ« OPERA BIBLIJNA.



Lwowskie Towarzystwo muzyczne, wykonało na ostatnim koncercie — obok wyjątków z opery biblijnej Rubinsteina »Mojżesz« — tegoż wspaniałą symfonję »Ocean«.

Już sama nazwa wskazuje, że majestatyczny żywioł natchnął Rubinsteina do napisania fantazji orkiestrowej, którą ze względu na formę, wzorowaną poniekąd na Beethovenie, nazwał symfonją. Rubinstein ogółem napisał pięć symfonji, z których »Ocean« jest najwspanialszą i należy do środkowego okresu twórczości niedawno zmarłego mistrza.

W okresie tym napisał Rubinstein trzy symfonje, z których żadna nie dorównywa »Oceanowi«, dopiero jedna z późniejszych, (czwarta z rzędu op. 95) zatytułowana »dramatyczną«, zbliżona jest na punkcie piękności i okazałości do wykonanej obecnie we Lwowie. Początkowo

składał się »Ocean« z czterech części, z biegiem czasu dorabiał Rubinstein dalsze, tak że ostatecznie symfonja składa się z siedmiu części. W tej postaci jednak nigdzie »Oceanu« nie wykonują, zwykle zachowuje się pierwotną formę i podobnie jak we Lwowie, wykonuje cztery pierwsze części. Rozpowszechnione jest zdanie, że »Ocean« nie jest muzyką programową, to znaczy, że nie powstał wedle z góry nakreślonego programu kompozytora. W sprzeczności z tem zapatrywaniem, pozostaje własne wynurzenie Rubinsteina, uczynione w obec znanego niemieckiego autora muzycznego Ludwika Köhlera. Wedle słów Rubinsteina, »Ocean« w swej pierwotnej formie napisany był wedle następującego programu: Część pierwsza: życie i ruch żywiołów w głębinie, fale i powiew wiatru. Część druga: Adagio. Podobnie jak niezgłębione jest morze, tak niezgłębioną jest dusza człowieka; jak burzliwe są wody, tak niespokojne jest uczucie człowieka. Część trzecia: Scherzo. Uroczysty pochód Neptuna, tuż za nim różnobarwny tłum trytonów. Część czwarta: (po przedostaniu się z głębin na powierzchnię oceanu, opierając się na reminiscencjach z Adagja) radość i szczęście z powodu zwycięzkiego pokonania żywiołu, potęgą umysłu ludzkiego.

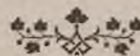
Z powyższego widać, że Rubinstein wcale szczegółowo ułożył program swej wspaniałej fantazji, której melodyjność uprzystępnia ją szerokiemu ogółowi słuchaczy. »Ocean« jest niezwykłem dziełem, zarówno co do bogactwa pomysłów, jak i co do olśniewającej szaty instrumentalnej, jestto, słowem, prawdziwy poemat muzyczny, któremu, co prawda, tu i ówdzie można zarzucić brak czystości formy, błąd, który z łatwością przepomni każdy wobec innych niepospolitych zalet tej wspaniałej kompozycji.

Drugi punkt programu tego koncertu Towarzystwa muzycznego, stanowił III. i VII. obraz z »opery biblijnej« Rubinsteina »Mojżesz«.

Rubinstein do końca życia nie mógł pozbyć się myśli stworzenia odrębnego działu operowego, biblijnego. Pragnął on zerwać z dotychczasowym sposobem wykonywania oratorjów, a zaprowadzić operę biblijną, w szacie zupełnie scenicznej, z dekoracjami, kostjumami, w ogóle z całym aparatem teatralnym. Spostrzegł jednak odrazu, że nowoczesne sceny operowe z wielu względów do tego rodzaju produkcji się nie nadają. To też dążył wszelkiemi siłami do tego, by uzyskać fundusze na wybudowanie umyślnego teatru, w którym przedstawianoby wyłącznie opery biblijne. Nadaremnie kołatał w Berlinie, w Weimarze, Paryżu, Londynie a nawet w Ameryce, pragnąc urzeczywistnić myśl swoją. Chwycił nawet za pióro i publicystycznie polecał muzykom i melomanom wykonanie swego planu. »Precz z oratorjami z sali koncertowej!« — Oto dewiza Rubinsteina, a raczej fantazja, która się nie ziściła i zapewne nigdy nie ziści.

Obok »Mojżesza« składającego się z ośmiu części, napisał Rubinstein »Raj utracony«, »Wieżę Babel«, »Chrystusa«, »Sulamith«, wszystko opery biblijne. Najpiękniejszą jest »Wieża Babel«, chociaż i »Mojżesz« niepozbawiony jest wspaniałego kolorytu wschodniego, w którym Rubinstein jest obok Goldmarcka nieporównanym mistrzem. Zastanowienia godną jest rzeczą, że partję Jehowy w Mojżeszu poruczył kompozytor tenorowi, podczas gdy każdy przyzna, że scenicznemu pojęciu Jehowy bardziej odpowiadałby potężny głos basowy, a chociażby piękny, męski głos barytonowy. Widocznie trzymał się tu kompozytor zasady, że głos Jehowy powinien dominować nad wszystkiem, wobec czego partję tą napisał na tenor. Bardzo wdzięcznie uposażył kompozytor partję Zipory, której recitativa i kadencje o wschodnich motywach są rzeczywiście porywająco piękne. Na pierwszym planie stoi naturalnie barytonowa partja Mojżesza, traktowana starannie i szczegółowo.

Mistrzowsko prowadzone są w »Mojżeszu« chóry, a sposób, w jaki akompaniament dzierży orkiestra, świadczy, że Rubinstein wiedział dobrze, że orkiestra to podstawa śpiewających mas, że tam i jedynie tam wszystko szuka pewnego, trwałego oparcia, nie woltyżując na nieuchwytnych akordach. To też orkiestra w »Mojżeszu« stanowić może wzór, w jaki sposób akompaniament mas choralnych powinien być prowadzony, a wraz z partjami solowemi i chórami tworzy monumentalnie piękną całość. *Stanisław Meliński.*



Z ruchu piśmienniczego.

„Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży«. Wydany z zapomogi kasy Mianowskiego. Warszawa. 1895. Str. IV. i 211.

Przeznaczeniem katalogu jest przyjść z pomocą rodzicom i wychowawcom, gdy stoją wobec kłopotu wybrania odpowiedniej książki dla dziecka. Katalog zawiera wiadomość o 439 dziełkach. Prócz dokładnego tytułu, nazwisk autora i nakładcy, roku wydania oraz ceny, mamy tam podaną w krótkości treść, charakterystykę i ocenę książeczek. Porządek alfabetyczny wedle nazwisk autorów, ale na końcu wszystkie książki zostały spisane podług treści w trzech działach: *a)* beletrystyka, *b)* podróże i przygody i *c)* książki popularno-naukowe, przyrodnicze, oraz książki pomocnicze przy nauce poglądowej. Prócz tego rozklasyfikowano książki stosownie do wieku czytelników: I. do lat 7, II. 7—10, III. 10—13, IV. po za 13. Taki układ pozwala z łatwością każdemu znaleźć o co mu chodzi i robić wybór.

PRO MEMORIA.

17. marca 1832. Założone zostało na emigracji Towarzystwo Demokratyczne polskie, którego hasłem było: »wszystko przez lud dla ludu!« Pod sztandarem Towarzystwa zgrupowało się wszystko, co było zdrowego, silnego, ku świetlej przyszłości dążącego w emigracji naszej wówczas niezmiernie licznej, w samej bowiem Francji znajdowało się koło 10 tysięcy wychodźców polskich. Towarzystwo Demokratyczne polskie pozostawało w ścisłych stosunkach z rewolucjonistami i demokratami innych krajów, należąc do organizacji, zwanej »Młodą Europą«.

18 marca 1860. Młodzież warszawska zamówiła uroczyste nabożeństwo żałobne za dusze: »Adama, Juljusza i Zygmunta« (Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego). Była to jedna z pierwszych manifestacji, które poprzedziły ruch zbrojny 1863 r.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.